

ACADEMIA wieś

NIESIELSKIE ŻYCIE DALEKO OD SZOSY

Otym, czy polska wieś się zmienia, mówią **dr hab. Monika Stanny** i **prof. dr hab. Andrzej Rosner** z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, autorzy raportu „Monitoring rozwoju obszarów wiejskich”.

ACADEMIA: Przez kilka lat przyglądali się państwo uważnie polskiej wsi. Na początek: czy można powiedzieć, że jest ona nowoczesna?

ANDRZEJ ROSNER: Próby włączenia mieszkańców wsi w nowoczesność są, niestety, trudne. Szczególnie w przypadku obszarów popegeerowskich. My się cieszymy, że wieś została już w Polsce zelektryfikowana i zwodociągowana. Ale nie wszyscy są z tego powodu zadowoleni. Widziałem taką wieś, w której z unijnych pieniędzy wybudowano wodociągi i ani jedno gospodarstwo się nie podłączyło, bo za to trzeba płacić. A po co to robić, kiedy można sobie za darmo wyciągnąć ze studni?

MONIKA STANNY: Inny przykład to gospodarka odpadami. Na wsi popegeerowskiej Pomorza Środkowego, kiedy stanęły kontenery na śmieci, to ludzie zaczęli się wręcz buntować. Łatwiej przecież nieczystości za oborę wyrzucić, zakopać. Ale zupełnie inaczej jest na wsi podmiejskiej. Tu nowoczesność przychodzi wraz z nowymi mieszkańcami, którzy przenoszą się z miasta na wieś.

Skąd się taka postawa bierze?

A.R.: Uważam, że to pozostałości gospodarowania naturalnego. W mieście nie potrafimy żyć bez pieniędzy, na wsi – gdzie pieniądź wkroczył później – z powodzeniem się to udaje. Za pewne rzeczy trzeba zapłacić, ale znaczną ilość dóbr można pozyskać inaczej. Choćby w postaci wymiany usług z sąsiadami.

Czy to oznacza, że modernizacja wsi dokonuje się w pewnym sensie ponad głowami jej mieszkańców?

M.S.: Dystans do cywilizacji takiej jak w mieście zdecydowanie się skraca. Dzisiaj na wsi ludzie są tak samo ubrani, mają takie same fryzury, jeżdżą podobnymi samochodami. W sklepie na wsi można kupić dokładnie to co w mieście.


A.R.: Tyle że starsze pokolenie najczęściej nie widzi powodu, dla którego rzeczywistość, w jakiej żyli przed laty, miałyby się zmieniać. Skracanie tego dystansu odbywa się z dynamiką większą niż zdolność wsi do jej absorpcji.

A co z młodymi?

M.S.: Coraz więcej osób studiuje, co trzeci mieszkaniec obszarów wiejskich w wieku 20–24 lat uczy się. Z drugiej strony ich dystans do studentów z miasta, np. w znajomości języków obcych, uczestnictwa w kulturze, bywa ogromny.

Co w takim razie edukacja zmienia w ich sytuacji?

A.R.: Gdyby studia wyższe, tak jak kiedyś, były wartością ogólnocywilizacyjną, zmiana mentalnościowa byłaby znacząca. Dzisiaj jednak jest to element polityki rynku pracy. Jakość poziomu edukacji spada, ale jeżeli połowa rocznika maturzystów – ok. 150 tys. rocznie – idzie na studia, to znaczy, że przez pięć lat są oni przetrzymywani poza rynkiem pracy. A to zmniejsza bezrobocie. To jest pomysł z okresu wielkiego kryzysu z lat 20. XX w. Wtedy Światowa Organizacja Pracy zalecała, by przedłużać okres edukacji, zamiast dawać wcześniejsze emerytury. Bo efekt bilansowy będzie taki sam, a po kryzysie da się uzyskać siłę roboczą o wyższych kwalifikacjach. Ta idea tylko częściowo się sprawdza, ale właśnie jest wykorzystywana.

A man in a green jacket and dark hat is walking a pig on a paved path. The path is lined with tall, bare trees, creating a tunnel effect. The pig is light-colored and is being led by a stick. The man is holding the stick with both hands, and the pig is walking towards the camera. The background shows a red-roofed building and more trees under a cloudy sky.

Starsze pokolenie
najczęściej nie widzi
powodu,
dla którego
rzeczywistość, w jakiej
żyli przed laty, miałyby
się zmieniać



Dr hab. Monika Stanny

jest ekonomistą i geografem. Od czerwca 2016 r. sprawuje funkcję dyrektora IRWiR PAN. Badawczo zajmuje się m.in. zróżnicowaniem przestrzennym rozwoju społeczno-gospodarczego, demografią i rynkiem pracy na wsi.

mstanny@irwirpan.waw.pl

Prof. dr hab. Andrzej Rosner

jest filozofem i ekonomistą. Pracuje w Zakładzie Ekonomii Wsi IRWiR. W latach 1997–2008 był zastępcą dyrektora ds. naukowych IRWiR PAN, a w okresie 2008–2012 dyrektorem. Jego zainteresowania naukowe obejmują m.in. zatrudnienie i bezrobocie, wiejskie i lokalne rynki pracy oraz migracje wewnętrzne.

arosner@irwirpan.waw.pl

Przed I wojną światową 85% społeczeństwa to byli chłopi, osoby faktycznie utrzymujące się z pracy na roli. O jakim procencie mówimy teraz?

M.S.: Na wsi mieszka dziś 40% ludności Polski, z czego co czwarty mieszkaniec pracuje w rolnictwie indywidualnym. Ale gdy spojrzymy ogółem na udział pracujących w rolnictwie, tj. w relacji do pracującej ludności kraju, to odsetek ten wynosi już tylko ok. 10%. Jest to i tak dużo w stosunku do innych państw Unii Europejskiej.

A.R.: Szacowanie ludności zatrudnionej w rolnictwie jest bardzo skomplikowane. Po pierwsze, można posiadać gospodarstwo, ale nie produkować w nim niczego albo produkować tylko na użytek własny. Po drugie, mieszkać w gospodarstwie rodzinnym, jednak pracować poza gospodarstwem. Ale jest także najemna siła robocza, która nie ma gospodarstwa ani ziemi, a pracuje w rolnictwie. Ona zresztą była i przed wojną – to pracownicy gospodarstw dworskich. A poza rolnikami była minimalna liczba ludności bezrolnej – karczmarz, sklepikarz, kowal, nauczyciel...

Czym teraz zajmują się ci, którzy nie żyją z rolnictwa?

A.R.: Część ludności wiejskiej dojeżdża do pracy w miastach. Tak się dzieje przede wszystkim na terenach dawnej Galicji. W innych regionach – szczególnie na zachodzie – jest spora liczba ludności, którą można nazwać funkcjonalnie wiejską. To pracownicy administracji, nauczyciele, sklepikarze, ale też właściciele różnych drobnych punktów usługowych, choćby motoryzacyjnych. Minimalna liczba pozarolniczych podmiotów gospodarczych jest na ścianie wschodniej, ale tam prawie połowa ludności niezatrudnionej w rolnictwie pracuje w usługach publicznych.

Z czego wynikają te różnice?

M.S.: To, ile jest pozarolniczych miejsc pracy na obszarach wiejskich, bardzo zależy od struktury społeczno-gospodarczej gminy. Istotna jest tu tak zwana renta położenia, czyli czy jesteśmy blisko, czy daleko od centrum miejskiego. Ważniejsza jest także ścieżka historycznego rozwoju. Obszary w Polsce centralnej i wschodniej, które należały do zaboru rosyjskiego, są bardziej monofunkcyjne gospodarczo, tj. z dominacją rolnictwa w strukturze na przykład miejsc pracy w gminie.

A.R.: Najlepiej rozwinięty pas to ziemie zaboru pruskiego, które w okresie międzywojennym były w Polsce – od Kaszub, przez Wielkopolskę, aż do Śląska. Na tym obszarze wielofunkcyjność (i powiązany z nią zróżnicowany rynek pracy) ma długie tradycje, poza tym najwcześniej wprowadzono tam powszechne szkolnictwo wiejskie. Mieszkańcy mają więc wyższe aspiracje. Są takie wsie, w których na każdym domu – a właściwie willi – wisi szyld jakiegoś biznesu.

M.S.: Rolnictwo jest także świetnie zorganizowane, to tam powstawały pierwsze kasy zapomogowo-pożyczkowe, kółka rolnicze itp. I nawet problemy, jakie zgłaszają mieszkańcy wsi na zebraniach sołeckich, są inne. W Wielkopolsce pytają o drogi, kanalizację i mieszkania, a na Lubelszczyźnie poruszane są problemy, których rozwiązanie nie leży w kompetencjach władz lokalnych, jak np.: brak pracy, nieopłacalność rolnictwa. A.R.: Znaczenie ma tu także kwestia typu migracji. W Kongresówce dominowały definitywne: młody człowiek kończył szkołę i wyjeżdżał ze wsi. Na zachodzie zaś czasowe: ludzie wyedukowani w miastach wracali na wieś i przywozili pewne wzory zachowań, inaczej patrzyli na organizację życia i pracy, mieli nowe potrzeby. Rolnik myśli w kategoriach pór roku, „miastowy” w kategoriach pracy od godziny do godziny. Jak ktoś zechce wybudować sobie domek na wsi, to cieśla ze wschodu mu powie, że przyjdzie na wiosnę. W Małopolsce, Wielkopolsce czy na Podkarpaciu oświadczy, gdzie kontakty z „etatowym” reżimem pracy były większe, powie, że zacznie pracę w piątek wieczorem.

Na Lubelszczyźnie czy Podlasiu po wojnie i przez ostatnich 27 lat nie budowano kapitału społecznego? Nic się tam mentalnościowo nie zdarzyło?

A.R.: Tu znów trzeba wrócić do migracji do miast. W Wielkopolsce jest ona wciąż bardzo słaba, bo biznes rozwija się także na wsi. W związku z tym struktura demograficzna rozwija się normalnie. W Polsce wschodniej nie dość, że w wyniku dotychczasowych migracji już jest ogromna przewaga starych ludzi, to młodzi nadal odpływają, a wraz z nimi wypływają się kompetencje społeczne. Pozostają mało przedsiębiorcze osoby, takie, które boją się ryzyka związanego z migracją. W efekcie zróżnicowanie regionalne się pogłębia.

Co więcej, ponieważ kobiety mają większą skłonność do migracji, obserwuje się zakłócenie proporcji

ZMIANY NA OBSZARACH WIEJSKICH

młodych kobiet do młodych mężczyzn. W publicystyce obserwuje się, że co jakiś czas powraca temat „rolnik szuka żony”. Z badań wynika, że kobieta ze wsi ma większe szanse znalezienia partnera miejskiego niż chłopak ze wsi dziewczyny miejskiej. Problem ten dotyczy przede wszystkim rejonów odpływu migracyjnego, a więc Polski wschodniej.

Bo – stereotypowo – te ze wsi są pracowite i gospodarne?

M.S.: Być może, ale jedno z praw migracji Ravensteina mówi, że generalnie kobiety są bardziej skłonne do migracji niż mężczyźni. Od XIX w. wszystkie badania to potwierdzają. Mapa feminizacji – czyli liczba kobiet w wieku 25-34 lata na 100 mężczyzn – to odzwierciedla: w Wielkopolsce jest równowaga, a bardzo wypłukana z młodych kobiet jest wschodnia Polska i Mazowsze w obszarach peryferyjnych. Ponadto młode kobiety są obecnie lepiej wykształcone od swoich rówieśników. Jest to czynnik ułatwiający im migracje, zwłaszcza znalezienie pracy i adaptację w środowisku miejskim. Mogę na podstawie naszych badań powiedzieć, że wskaźniki demograficzne są papierkiem lakmusowym przemian społeczno-gospodarczych.

A co jest wyjątkowego w Zachodniopomorskiem?

M.S.: Obszary popegeerowskie. Wysokie bezrobocie popegeerowskie powoli przestaje być koszmarem – urzędy pracy nie mają problemu ze znalezieniem zatrudnienia dla kogoś, kto tego chce, bo ludność już się na tyle postarzała, że znaczna jej część przeszła z wieku produkcyjnego w wiek emerytalny. Inni uciekli w bierność zawodową, a więc w system rentowy lub pomocy społecznej. Jest tu bardzo niska przedsiębiorczość, generująca niewiele miejsc pracy, więc młodzież odpływa do miast lub za granicę. To, co w badaniach nas pozytywnie zaskoczyło, to dość duża poprawa w zakresie wskaźników edukacyjnych. Ale czy to powstrzyma młodych przed migracją, to obecnie wielki znak zapytania.

A.R.: Szczególnie że inne badania wykazują dziedziczenie biedy, postaw bezradności. Ja więc bym powiedział, że raczej następuje polaryzacja młodego pokolenia niż jednoznaczna poprawa. Inna sprawa, że migracje z tych terenów są przede wszystkim zagraniczne. Dokładnych danych nie mamy, bo polska statystyka jest tak ustawiona, żeby te migracje schować.

M.S.: Dziś oficjalnie GUS szacuje, że wyemigrowało ponad 2 mln Polaków, i tę liczbę powinniśmy traktować jako dolną granicę faktycznej liczby emigrantów z kraju.

A.R.: Dlatego podkreślamy, że mamy w Polsce dwa rodzaje rzeczywistości: statystyczną i faktyczną. W badaniach jakościowych możemy odkryć rzeczywistość faktyczną, nie znamy jednak skali odkrywanych zjawisk. Badania ilościowe oparte na statystyce powszechnej pokazują nam skalę tych zjawisk, ale nie

rzeczywistych, tylko wynikających z konwencji statystycznych. Gdybyśmy opierali się tylko na danych statystycznych, mówilibyśmy o zupełnie fikcyjnej rzeczywistości.

Dzisiaj statystyka powszechna nie daje informacji bardzo podstawowych, takich jak liczba gospodarstw rolnych (różne źródła pokazują odmienne wielkości), zatrudnienie pozarolnicze na wsi itp. Co prawda w danych GUS można znaleźć informacje o liczbie osób

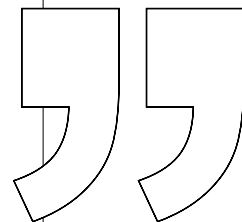
W Polsce wschodniej nie dość, że już jest ogromna przewaga starych ludzi, to młodzi nadal odpływają, a wraz z nimi wypływają się kompetencje społeczne

zatrudnionych poza rolnictwem w danej gminie, ale dotyczy ona osób zatrudnionych w firmach mających powyżej 9 pracowników. Przecież na wsi większość firm to firmy bardzo małe.

M.S.: Postanowiliśmy w trzecim etapie monitoringu rozbudować ankietę gminną wysyłaną do wszystkich badanych jednostek wiejskich i miejsko-wiejskich w kraju, czyli 2174 gmin, o pytanie dotyczące liczby ludności gminy według deklaracji opłaty śmieciowej. To nam powinno pokazać rzeczywistą liczbę ludności w danej gminie. Dotychczas posługujemy się liczbą ludności opartą na statystyce meldunków, a więc niepewnej.

Czy na wsi brakuje ziemi? Kiedy się jedzie np. przez Przemyskie, to stoi dom przy domu i nie wiadomo, gdzie się kończy jedna wieś, a druga zaczyna.

A.R.: A z drugiej strony w skali kraju mamy około miliona hektarów leżących odłogiem. Tak że i brakuje, i jest nadwyżka. Ale żeby powiedzieć, jak dalece to jest niejednoznaczne, musimy zmienić temat. W monitoringu mówimy o stopniu dezagrarnizacji obszarów wiejskich. W Polsce 10% krajowych zasobów pracy jest skierowanych do rolnictwa. Rolnictwo wytwarza 3,7% PKB. W krajach wysokorozwiniętych – we Francji, w Niemczech – rolnictwo wytwarza około 1% PKB, zatrudnienie wynosi 1,5-2%. To wielcy eksporterzy żywności, ale rolnictwo jest w strukturze gospodarczej niewielkim działem. My mamy 10% siły roboczej w rolnictwie! To znaczy, że wsparcie rolnictwa trafia do 10% ludności kraju. Można dotować 1 czy 2% ludności, ale skuteczne dotowanie jednej dziesiątej populacji jest szalenie obciążające.



Jest na to sposób?

A.R.: Jedynym byłoby zmniejszenie zatrudnienia rolniczego. Ale to oznacza znalezienie miejsc pracy dla tych osób, które są w rolnictwie zbędne. Bo teraz mamy do czynienia z ukrytym bezrobociem: dziecko rolnika, które traci pracę poza rolnictwem albo kończy szkołę i nie ma pracy, zawsze znajdzie zatrudnienie w gospodarstwie rodziców. Może płót malować na przykład, czyli w sumie nic nie robić, a w statystykach bezrobocia go nie ma. Dzisiaj więc ratunkiem dla wsi byłyby nowe miejsca pracy dla osób zbędnych. Ale jak stworzyć 2 mln miejsc pracy na wsi?

Ukryte bezrobocie szacowane jest na 2 mln?

A.R.: To jest bardzo trudne pytanie, ponieważ GUS zmienia definicje pojęć co jakiś czas. W połowie lat 90. prof. Izasław Frenkel z naszego instytutu wyzacał, że w Polsce mamy 1 mln 200 tys. osób zbędnych zatrudnionych w gospodarstwach rodzinnych. A rolny spis powszechny z 1996 r. wykazał 880 tys. Skąd różnica? Prof. Frenkel przyjął, że 400 tys. to osoby, które stałyby się zbędne, gdyby wszystkie usługi, administracja itd., czyli cała organizacja wokół gospodarstwa, były racjonalne. Postawił też kolejne pytanie: co by się stało, gdyby zmienić strukturę gospodarstw na taką, jaką miały Niemcy zachodnie na początku lat 90., czyli średni obszar gospodarstwa ok. 30 ha. Okazało się, że gdyby przyjąć model niemiecki, rolnictwo musiałoby się pozbyć pewnej liczby siły roboczej, która jest związana z rozdrobnieniem i w sumie mielibyśmy znacznie ponad 2 mln osób zbędnych. Co by się stało, gdyby tyle osób weszło na rynek pracy? Żadna reforma Balcerowicza nic by nie dała. Wówczas mieliśmy 3 mln zarejestrowanych bezrobotnych, mielibyśmy 6 mln. Do dziś rolnictwo przechowuje zbędną siłę roboczą.

Dlaczego tak się dzieje?

A.R.: W roku 1950, po reformie rolnej i po podziale na Niemcy wschodnie i zachodnie, struktura obszarowa rolnictwa w Polsce i w landach zachodnich była identyczna: średni obszar gospodarstwa wynosił 5 ha. W Polsce bardzo powoli wzrastał i wzrósł do 10 ha. Natomiast w Niemczech proces uprzemysłowienia w latach 50. wyciągnął siłę roboczą z rolnictwa. Oni wtedy przeszli proces koncentracji. U nas teraz problem polega na tym, że przemysł, rozwijając się, nie zwiększa zatrudnienia, bo są nowe technologie, a więc rozwijając się, nie tworzy wystarczającej liczby miejsc pracy dla ludności z gospodarstw rolnych.

M.S.: To, że w Polsce nie było pełnej kolektywizacji rolnictwa, można uznać za plus i za minus. Z jednej strony nie ma kłopotów z restrukturyzacją rolnictwa na obszarach popegeerowskich. Z drugiej w Polsce centralnej, wschodniej i południowej, gdzie typowe jest rolnictwo rodzinne, są duże problemy z koncentracją ziemi, kapitału, pracy i produkcji.

A.R.: W tej chwili szacuje się, że ok. 80% produkcji towarowej wytwarza mniej więcej 20% gospodarstw. Tych wielkich. To oznacza, że 80% gospodarstw, które nie uczestniczy w rynku, produkuje głównie na użytek własny. My je nazywamy gospodarstwami socjalnymi. M.S. Udział osób utrzymujących się z rolnictwa maleje. I właściwie należałoby to ocenić jako zjawisko korzystne, gdyby nie fakt, że dzieje się to kosztem wzrostu niezarobkowych źródeł utrzymania, czyli np. pomocy socjalnej. Potwierdza to, że konieczna jest dezagraryzacja – zmniejszenie udziału rolnictwa w strukturze źródeł utrzymania z pracy, do takich mniej więcej proporcji jak w wysokorozwiniętych krajach europejskich. Ale mamy też świadomość, że rolnictwo jest pewnym buforem i gdybyśmy bardzo przyspieszyli procesy dezagraryzacji, a nie mielibyśmy co zrobić z ludźmi, to prowadziłyby to do konfliktów społecznych. Tę ludność trzeba zagospodarować, a najskuteczniejszym sposobem jest wytworzenie popytu lokalnego na pracę.

Alc czy nie jest tak, że ten stan jest świadomie konserwowany?

M.S.: Niestety, częściowo tak. Na przykład brak reformy KRUS, mimo że było kilka projektów rozwiązania tego problemu. Niektóre zresztą bardzo interesujące, jak propozycja z 2014 r. fundacji Europejski Fundusz Rozwoju Wsi Polskiej czy jeszcze starsza – zaproponowana w ramach reformy finansów publicznych przez wicepremiera Hausnera. Rolnikowi nie opłaca się wyjść z tego systemu ubezpieczeń. Lecz zacznijmy od tego – co jest ewenementem na skalę europejską – że u nas rolnik nie jest przedsiębiorcą i nie płaci podatku. Do badań pozyskujemy dane o liczbie rolników z Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, która podaje nam liczbę osób pobierających płatności bezpośrednio. Ale czy są to wszystkie gospodarstwa? Badania GUS nie dają jednoznacznej odpowiedzi, o czym profesor Rosner wyżej wspomniał. Przykładowo użyskaliśmy z Ministerstwa Finansów informację, jaki jest średni dochód podatnika, na podstawie PIT. Wynika z niej, że na tzw. ścianie wschodniej jest sytuacja najmniej korzystna. Ale te dane nie obejmują rolników, bo nie są płatnikami PIT. A przecież wiemy, że np. Podlasie to zagłębie mleczarskie, że są tam zamożni rolnicy, z dużą produkcją i silnymi rynkowymi gospodarstwami rodzinnymi, posiadający dopłaty unijne.

A.R.: A dopłaty generalnie powodują, że ludzie nie chcą sprzedawać ziemi, bo co roku dostają premię za to, że ją mają.

M.S.: Poza tym stygmatyzuje się wielkoobszarowe gospodarstwa, bo preferuje się i wspiera małe gospodarstwa rodzinne. I do tego mamy jeszcze nowy instrument w postaci 500+. O ile można uznać, że taka pomoc jest potrzebna, o tyle niewątpliwie powinna ona być inaczej adresowana, żeby nie doprowadzić do dezaktywizacji zawodowej kobiet. Inaczej za 20 lat

SYTUACJA NA OBSZARACH WIEJSKICH

będziemy mieli podobny do popegeerowskiego syndrom 500+. Kobiety, które mając kilkoro dzieci, wyjdą z rynku na 20 lat, a po tym czasie nie będą już w stanie się zaktywizować zawodowo. To może być utracony na zawsze kapitał ludzki.

To bardzo ponura perspektywa. Czy można ją zmienić?

A.R.: Pewną nadzieję daje aktualna faza rozwoju demograficznego. Na rynek pracy wychodzą roczniki młodzieżowe, stosunkowo mało liczne (niższe demograficznie), natomiast wiek emerytalny osiągną roczniki powojennego wyżu demograficznego. W efekcie od 5 lat co roku zmniejsza się zasób potencjalnej siły roboczej w Polsce. Zjawisko to, jak pokazują prognozy, będzie trwałe. Powstają więc warunki sprzyjające ograniczaniu bezrobocia oraz aktywizowaniu przez rynek pracy wszystkich wolnych zasobów pracy. W tym również kobiet po okresie przerwy w aktywności zawodowej.

Ponadto w dalszej perspektywie tendencja ta sprzyjać będzie zmianom strukturalnym w rolnictwie. Będą one dla ludności wiejskiej trudne, będą się wiązać z koniecznością zmiany stosunku do ziemi – ojcowizny, ale będą niezbędne. Rolnictwo w obecnej strukturze nie będzie przynosiło dochodów akceptowalnych przez ludność wiejską. Pamiętać jednak trzeba, że zmiany w rolnictwie muszą być skorelowane ze zmianami w jego otoczeniu.

Tylko czy każde dobre rozwiązanie jest właściwe dla każdego z obszarów wiejskich?

M.S. Instrumenty wsparcia powinny być dostosowane do różnego typu problemów, do różnych typów obszarów wiejskich. Tymczasem w „Strategii na rzecz odpowiedzialnego rozwoju”, w tej chwili przygotowywanej przez rząd, mówi się o wsparciu dla Polski wschodniej, dla Śląska, dla miast dużych, małych, dla wsi, tylko nie mówi się, jak wesprzeć i do kogo wsparcie skierować. Brakuje nam tam priorytetów rozwoju w odniesieniu do obszarów wiejskich. Zapowiadana jest też inna niż dotychczas rola regionów, tj. województw, w programowaniu rozwoju.

My uważamy, że to nie programy regionalne powinny być centralizowane, tylko programy centralne powinny być terytorializowane. Przykład: jeżeli osoba rozpoczynająca działalność gospodarczą jest zwolniona przez pierwsze dwa lata z pełnego podatku, to inne powinny być warunki zwolnienia w Lesznowoli czy Konstancinie-Jeziornie, a inne w Hajnówce na Podlasiu czy w Barwicach pod Szczecinkiem. Impuls do prowadzenia działalności gospodarczej powinien być inaczej stymulowany przez państwo.

Z DR HAB. MONIKĄ STANNY
I PROF. DR. HAB. ANDRZEJEM ROSNEREM
ROZMAWIAŁY ANNA ZAWADZKA
I KATARZYNA CZARNECKA
ZDJĘCIA JAKUB OSTAŁOWSKI

Dlaczego w Polsce tak trudno walczyć z afrykańskim pomorem świń i czy jego epidemia zmieni wieś, mówi **prof. dr hab. Zygmunt Pejsak** z Państwowego Instytutu Weterynaryjnego – Państwowego Instytut Badawczego w Puławach, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk.

ACADEMIA: W Polsce afrykański pomór świń (ASF) pojawił się w lutym roku 2014. We wrześniu 2016 r. wykryto 23. jego ognisko. Do chwili obecnej zarejestrowano również 117 przypadków tej choroby u dzików. Jak wielkim problemem jest afrykański pomór świń?

ZYGMUNT PEJSAK: Niestety, ogromnym. ASFV – czynnik etiologiczny choroby – to wirus należący do rodziny *Asfarviridae*. Jest chorobotwórczy wyłącznie dla świń i dzików. Ponieważ ludziom z jego strony nic nie grozi, w niektórych krajach, takich jak Rosja czy Ukraina, ubija się niekiedy chore zwierzęta i robi z nich wyroby wędliniarskie. Z powodu tego rodzaju

nieodpowiedzialnych działań ASFV może w określonych warunkach swobodnie się rozprzestrzeniać, bo wędzenie, solenie czy też peklowanie lub mrożenie nie zabija wirusa.

W jaki dokładnie sposób dochodzi do rozprzestrzenienia choroby?

Przyczyną wybuchu ognisk (ogniskiem określa się wystąpienia ASF u świń) choroby i szerzenia się zakażeń ASFV w populacji świń w każdym przypadku było nieprzestrzeganie podstawowych zasad bioasekuracji, w tym przede wszystkim wprowadzenie do chlewni świń zakażonych ASFV zakupionych z niezna-

nego źródła pochodzenia, a w dalszej kolejności zlewek zanieczyszczonych tym wirusem. Człowiek może wprowadzić ASFV do stada świń na butach, ubraniach, na włosach czy poprzez wykorzystywane sprzęty – zanieczyszczone wirusem. Źródłem wirusa dla zwierząt może też być zanieczyszczona tym drobnoustrojem kiełbasa lub inne wyroby wyprodukowane z wykorzystaniem mięsa pochodzącego od zakażonych świń lub dzików. Zdarzyło się, że wektorem w szerzeniu choroby była słoma zanieczyszczona tkankami dzika padłego z powodu ASF.

W jaki sposób zwalczą się ASF?

Mimo ogromnych nakładów ze strony m.in. firm farmaceutycznych do dzisiaj nie opracowano skutecznej szczepionki, co związane jest z właściwościami biologicznymi czynnika etiologicznego tej choroby, w tym jego dużą zmiennością genotypową (22 genotypy) i niezdolnością do indukowania powstania swoistych przeciwciał neutralizujących. Dlatego we wszystkich rozwiniętych rolniczo krajach świata jedynym sposobem zwalczania ASF jest administracyjna likwidacja zwierząt i ich utylizacja. Dodatkowo zazwyczaj wybijają się wszystkie świny w tak zwanej strefie zapowietrzonych – o promieniu 3 km od ogniska. W większości krajów, w tym w Polsce, właściciel zwierząt otrzymuje pełną rekompensatę za zlikwidowane stado.

” Brak rozsądku ze strony drobnych rolników może powodować ogromne problemy u profesjonalnych – średnich i dużych – producentów tuczników

Pojawienie się ogniska ASFV powoduje także, że w promieniu kolejnych 7 km – w tak zwanej strefie zagrożonej – wprowadzonych zostaje wiele rygorów administracyjnych, które w sposób istotny ograniczają możliwości przemieszczania świń i znacznie utrudniają ich produkcję; budzi to niejednokrotnie zdecydowany sprzeciw hodowców i producentów tego gatunku zwierząt. Jednym z rygorów związanych ze zwalczaniem ASF w regionach, w których ta choroba wystąpiła, jest dokonywanie uboju tuczników wyłącznie w określonych rzeźniach i wykorzystywanie mięsa z w pełni zdrowych świń, ale pochodzących ze stref z ograniczeniami, wyłącznie do produkcji konserw. Są one w 100% bezpieczne zarówno dla ludzi, jak i zwierząt. I można stwierdzić, że najlepsze z możliwych, bo znajduje się w nich wysokiej wartości mięso.

Procedury związane ze zwalczaniem pomoru są nie tylko skomplikowane, lecz także drogie?

Tak, bardzo. Zazwyczaj kosztują więcej niż dokonanie uboju świń w rzeźni i ich przetworzenie. Dla przykładu wystąpienie ASF w jednej małej chlewni przyzagrodowej na Podlasiu doprowadziło do likwidacji 49 świń w pięciu innych małych chlewniach. Na zabicie takiej liczby zwierząt oraz oczyszczenie i dokonanie dezynfekcji chlewni Skarb Państwa musiał wydać 54 tys. zł. Gdyby taka sytuacja zaistniała np. w regionie o znacznej liczbie dużych gospodarstw, np. w Wielkopolsce, koszty sięgałyby dziesiątek milionów złotych.

Problemy społeczne wynikają m.in. z faktu, że rolnik, w którego gospodarstwie stwierdzono ASF, może podjąć chów świń najwcześniej po 40 dniach od likwidacji stada. Z wielu powodów, np. w przypadku pojawienia się kolejnych ognisk, czas ten zostaje wydłużony nawet do kilku miesięcy.

Można naiwnie pomyśleć, że skoro ludziom nic z powodu ASFV nie grozi, to nie ma co się tak bardzo przejmować?

Przejmujemy się z wielu powodów, przede wszystkim dlatego, że chorobę nie jest łatwo zwalczyć. Po pierwsze, jak już wspomniałem, nie ma dobrej szczepionki, po drugie, nigdy w historii ASF nie występował w populacji dzików.

Należy przyjąć, że eradykacja (eliminacja) wirusa z populacji dzików z wielu powodów będzie trwała bardzo długo. Przed wszystkim ze względu na behavior tych zwierząt, a po drugie dlatego, że ich odstrzał na niektórych terenach, np. Białowieskiego Parku Narodowego, jest praktycznie niemożliwy. Tymczasem długotrwałe utrzymywanie się ASFV w populacji dzików może doprowadzić do sytuacji, że choroba ta z formy ostrej przekształci się w chroniczną, przy której część zakażonych zwierząt będzie przeżywała zakażenie i stała się długotrwałymi siewcami wirusa, co w sposób zasadniczy utrudni jej zwalczanie.

To niedobrze?

Niedobrze, bo przez lata możemy mieć źródło wirusa „w lesie”. W takiej sytuacji w każdym momencie nieodpowiedzialne zachowanie ludzi może doprowadzić do przeniesienia choroby z lasu do stada świń, np. drogą mięsa pochodzącego od odstrzelonych – a bardziej prawdopodobne „skłusowanych” – zakażonych ASFV dzików. Wektorem w przemieszczaniu się wirusa „z lasu” do chlewni mogą też być ludzie, np. zbierający grzyby. Mogą oni przenieść czynniki etiologiczne choroby z lasu do chlewni np. na butach. Ostatnia nasza porażka w walce z ASF w lipcu, sierpniu i we wrześniu br. była konsekwencją tego, że właściciel, któremu świny zaczęły chorować, sprzedał tanio chore zwierzęta i tą drogą wprowadził ASFV do kilku innych gospodarstw.



Jak to możliwe? Kontrola hodowli jest niewystarczająca?

W Polsce obowiązują bardzo jasne przepisy: każdy hodowca i producent jest zobowiązany zgłosić do Agencji Rynku Rolnego fakt posiadania świń, które powinny zostać trwale oznakowane. Niestety, wielu rolników lekceważy ten obowiązek, czego skutkiem jest obecność na rynku zwierząt z gospodarstw niezarejestrowanych. Oczywiście rolnicy nie powinni takich zwierząt kupować. Niestety, w praktyce bywa z tym różnie. Zauważalne jest to przede wszystkim we wschodniej części kraju.

Z czego to wynika?

Przede wszystkim z niskiej świadomości znacznego odsetka właścicieli zwierząt. Dotyczy to przede wszystkim tych „małych” utrzymujących 2–3 tuczniaki. Konsekwencje wystąpienia ASF w takich gospodarstwach są dla właściciela mniej bolesne niż wtedy, gdy choroba wystąpi u poważnego producenta. Niestety, brak rozsądku ze strony wielu drobnych rolników może powodować (i powoduje) ogromne problemy u profesjonalnych – średnich i dużych – producentów tuczników. W skrajnym przypadku problem mogą mieć wszyscy producenci świń w Polsce. Z tego powodu uważam, że rolnicy, którzy nie przestrzegają podstawowych zasad bioasekuracji stad, powinni zostać zmuszeni do zaprzestania chowu świń. Niewprowadzenie tej zasady niesie ze sobą ogromne ryzyko dla całej branży związanej z produkcją świń i wieprzowiny.

Pana pogląd spotyka się z oporem rolników?

Owszem, przede wszystkim tych drobnotowarowych. Profesjonaliści mają zdanie podobne do mojego – zda-

ją sobie sprawę, czym grozi wystąpienie ASF u sąsiada utrzymującego kilka świń. Działania w zakresie ograniczania produkcji w chlewniach nieprzestrzegających podstawowych zasad bioasekuracji są, niestety, ze względów społecznych mało zdecydowane. Między innymi z tego powodu choroba, aczkolwiek stosunkowo wolno, to jednak konsekwentnie, przesuwa się w głąb kraju.

W wielu krajach Europy Zachodniej w takim przypadku postępuje się bardzo radykalnie. Ustalone prawo jest tam dla dobra wszystkich konsekwentnie przestrzegane i realizowane. W Polsce przeważa nadmierna wyrozumiałość dla tych, którzy łamią prawo. Dokładnie kontrolujemy przepisy i regulacje prawne w wielu ogniach tak zwanego łańcucha żywnościowego – od rzeźni poczynając, a na restauracjach kończąc, nie jesteśmy tak wymagający i restrykcyjni, jeżeli chodzi o to, co obecnie najważniejsze – przestrzeganie zasad bioasekuracji przez hodowców i producentów świń. A w obecnej sytuacji może to nas bardzo drogo kosztować.

Zrobiliśmy symulację, ile trzeba by było wydać budżetowych pieniędzy w przypadku wystąpienia ogniska na obszarze, gdzie są duże chlewnie. Jeśli w okręgu zapowietrzonym, na przykład w jednej gminie powiatu wolsztyńskiego, mamy 146 gospodarstw i 25 tys. świń, ich likwidacja kosztowałaby 15 mln.

Do gospodarstwa dobrze bioasekurowanego wirus nie ma szans się dostać?

Praktycznie nie ma. Niestety, u nas bardzo dobrze bioasekurowanych jest może 10 proc. chlewni, tych najnowocześniejszych.



Prof. dr hab. Zygmunt Pejśak

jest jednym z czołowych na świecie specjalistów z zakresu epizootologii i hyopatologii. W PIWet – PIB w Puławach od 30 lat kieruje Zakładem Chorób Świń. Jeden z założycieli Europejskiej Szkoły Specjalistów Chorób Świń (European College of Porcine Health Management – ECPHM). Członek rzeczywisty PAN.

zpejsak@piwet.pulawy.pl

A co z dzikami?

Dziki są aktualnie głównym źródłem wirusa. Mam nadzieję, że ogromna większość zainteresowanych zwalczaniem ASF ma już tego świadomość. Niestety, nie wszyscy decydenci podzielają ten pogląd. Co ważne, dziki padłe z powodu ASF są groźniejsze niż zakażone tym drobnoustrojem, ale żywe.

Dzik żywy ma szansę siać wirus maksymalnie przez 8-10 dni. Dzik padły może być źródłem wirusa przez miesiące. Dlatego też w moim przekonaniu wzorem innych – sąsiadujących z nami – krajów dotkniętych ASF powinniśmy w regionach dotkniętych chorobą aktywnie poszukiwać dzików padłych, zbierać je i utylizować. Tym sposobem w sposób zasadniczy ograniczymy ilości wirusa w kraju i liczbę jego źródeł. W moim przekonaniu jest to jedno z najważniejszych zadań w programie zwalczania ASF. Wykazano, że odpłatne poszukiwanie dzików padłych 6-krotnie zwiększa liczbę znalezionych zwierząt.

Pomór do naszego kraju przyniosły właśnie dziki?

Tak. Pierwsze przypadki stwierdziliśmy w lutym 2014 r. kilkaset metrów od granicy z Białorusią. Znaleźliśmy tam 2 padłe dziki, zakażone ASF, oddalone od siebie o około 10 km – taka odległość między padłymi z powodu ASF dzikami była zaskakująca. Z tym że szerzenie się ASF w populacji dzików w naszym kraju było stosunkowo wolne – przez pierwsze dwa lata wirus przemieścił się na odległość „tylko” 35 km od granicy wschodniej. Później istotną rolę w rozprzestrzenianiu się ASF odegrał człowiek.

Przydałaby się lepsza edukacja?

Tak. Świadomość rolników jest najważniejszym elementem skutecznego zwalczania ASF nie tylko w na-

szym kraju, ale także w każdym innym. Niestety, jak zapewne większość z nas zdaje sobie sprawę, podnoszenie świadomości ludzi jest zadaniem trudnym i czasochłonnym, a my mamy mało czasu. Prawie wszystkie ogniska ASF wynikały z podstawowych błędów ludzi zajmujących się chowem świń, w tym lekceważeniem wszystkich znanych dobrze zasad postępowania w tym zakresie.

Odtworzenie dróg zakażeń to gigantyczna praca detektywistyczna.

Można tak powiedzieć. Niemniej dzięki metodom, którymi dysponujemy w Instytucie w Puławach, między innymi korzystając z technik epidemiologii molekularnej, wiemy, że wirus dotarł do nas z Białorusi i jest analogiczny do stwierdzanego w Rosji. Bardzo ważny jest właściwie przeprowadzony wywiad epidemiologiczny. Jednym słowem, w zasadzie we wszystkich ogniskach zidentyfikowaliśmy drogę wprowadzenia wirusa do stada. Wiemy, że ciągle mamy do czynienia z tym samym szczepem, który bardzo powoli ulega punktowym mutacjom i należy do genotypu II ASFV.

Dodam, że Krajowe Laboratorium Referencyjne do wykrywania ASF zlokalizowane w PIWet – PIB w Puławach jest jak na razie jedynym ośrodkiem w Polsce, w którym prowadzi się prace badawcze i rutynową diagnostykę ASF. Związane jest to między innymi z tym, że dysponujemy laboratoriami klasy CL3 chroniącymi w 100% przed „ucieczką wirusa” z laboratorium.

Każdy wynik dodatni z mocy prawa UE weryfikowany jest przez Unijne Laboratorium Referencyjne zlokalizowane w Hiszpanii. Ani razu nasze rozpoznanie nie różniło się od tego, które stwierdzono w tym laboratorium.

Ile jest w Polsce gospodarstw, w których są świnię?

Około 190 tys., a świń jest około 10,5 mln.

I przed ubojem każdą trzeba zbadać, a wszystkie próbki trafiają do instytutu w Puławach?

Nie. Badamy klinicznie i laboratoryjnie w kierunku ASF tylko świnię znajdujące się na obszarze tak zwanej strefy III (strefa objęta ograniczeniami). Badamy laboratoryjnie wszystkie dziki odstrzelone na obszarze strefy III i II (strefa ochronna) oraz wszystkie dziki padłe z obszaru całego kraju. W szczycie epizootii codziennie badamy ok. 2 tys. próbek. Każda oceniana jest co najmniej dwoma testami (PCR i ELISA). Wyniki odsyłamy do zainteresowanej inspekcji weterynaryjnej w ciągu doby. Nasze laboratorium, od chwili wybuchu ASF w Polsce, pracuje na dwie zmiany. Zaadaptowaliśmy i opracowaliśmy wiele metod diagnostycznych, które są niezawodne, szybkie i – co ważne – tanie.

Czy zdobyliście granty na doskonalenie metod badawczych?

ZMIANY NA OBSZARACH WIEJSKICH

Niestety, nie. Mimo że składaliśmy wiele wniosków, żaden nie został rozpatrzony pozytywnie. Zauważyłem natomiast, że sporo funduszy przeznaczono ostatnio na projekty związane z gospodarką ściekami... Niemniej nie załamujemy się i składamy nowe wnioski do NCN i NCBiR. Mam nadzieję, że tamtejsi eksperci rozumieją, że wartość naukowa badań i potrzeba kraju wynikająca z sytuacji epizootycznej są niekiedy równoważne.

Skoro wiadomo dokładnie, jak walczyć z pomorem, dlaczego w Polsce się to nie udaje?

Podobnie jak w Rosji, Angoli, Malcie i na Kubie? Ale udało się w Belgii, we Francji czy w Holandii? Po pierwsze, nigdzie dotychczas ASF nie występował w populacji dzików. Po drugie, struktura naszego rolnictwa, w tym hodowli świń, różni się zasadniczo od tej, która funkcjonuje w innych krajach Europy. U nas są to przede wszystkim gospodarstwa drobnotowarowe. Liczba ich jest większa niż liczba chlewni w całej „starej” Unii, różny jest też poziom świadomości i odpowiedzialności „małych” hodowców świń. W końcu chyba nie byliśmy dostatecznie zdeterminowani w zakresie istotnego ograniczenia, bardzo licznej w naszym kraju, populacji dzików i zamykania chlewni niespełniających podstawowych zasad bioasekuracji. Zauważam, że w ostatnich miesiącach sytuacja w tym zakresie ulega wyraźnej, pozytywnej zmianie.

Ale zagęszczenia dzików na wschodzie Polski są wysokie – po kilkaset zwierząt na nadleśnictwo. Szukanie po lasach tych padłych to syzyfowa praca.

Nie taka znowu syzyfowa. W Estonii w ciągu roku znajdują 1500 dzików, na Łotwie 1200. A my na obszarze występowania ASF znajdujemy kilkadziesiąt. Warto dodać, że we wszystkich wymienionych krajach, w tym w Polsce, u około połowy padłych dzików stwierdza się obecność ASFV.

Bo nikt ich nie szuka?

Niestety. Bo jak się nie szuka, to nie ma problemu. Jak już wspomniałem, sytuacja chyba się zmienia, mam nadzieję, że wkrótce efektywność eliminacji wirusa z populacji dzików poprzez aktywne poszukiwanie padłych osobników wyraźnie się poprawi. Podejmujemy już intensywne działania zmierzające do ograniczenia gęstości populacji dzików, tak by nie przekraczała ona w każdym obwodzie łowieckim 0,5 dzika na kilometr kwadratowy. Z badań wynika, że kiedy gęstość populacji dzików jest mniejsza od wspomnianego wskaźnika, to szerzenie się ASF jest dużo trudniejsze.

Co to znaczy aktywne poszukiwanie?

Unia Europejska dopłaca do każdego znalezionejgo padłego dzika. Nawet na Białorusi za znalezienie padłego

dzika płacą kilkadziesiąt euro. Podobnie na Łotwie, Litwie i w Estonii.

W tej chwili wirus zatrzymał się na wschód od linii Wisły. Jeśli pojawi się na zachodzie, Polska zostanie objęta embargiem.

Ależ my już jesteśmy objęci embargiem. Między innymi Rosja, Chiny i Japonia, które działając według prawa międzynarodowego, po prostu wprowadziły zakaz importu naszego mięsa. Unia Europejska traktuje nas zgodnie z prawem unijnym i pozwala na eksport świń i mięsa z całego terytorium naszego kraju – poza strefami III i II – na terytorium Wspólnoty. Może to mieć miejsce, dopóki realizujemy wszystko, co nakazuje nam Komisja Weterynaryjna UE. Zgodnie ze wspomnianym prawem unijnym nie można nam zakazać wysyłania mięsa do Niemiec, do Hiszpanii czy do Danii. Kłopot w tym, że nie zawsze chcą je od nas kupować.

Jaki jest dla nas najgorszy scenariusz? Zostaniemy bez świń?

Cóż, na Malcie czy na Kubie wybito wszystkie. W Polsce nie przewiduję takiego rozwoju wypadków. Powtarzam tylko, że jest to choroba, którą muszą zwalczać wszyscy, nie tylko służba weterynaryjna, bo ona nie jest w stanie sama poradzić sobie z problemem. Inspekcja weterynaryjna, na którą nałożono najwięcej zadań, ma ograniczone możliwości. W tę wojnę muszą być włączeni myśliwi, wojsko, policja i szereg innych służb. Na granicach musi to robić służba celna i graniczna inspekcja weterynaryjna.

W program zwalczania zaangażować się zatem powinny nie tylko Ministerstwo Rolnictwa, ale także Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, Ministerstwo Obrony oraz Ministerstwo Ochrony Środowiska. Można powiedzieć, że to, co dotychczas niejednokrotnie było problemem, to znaczy przepisy prawa – od niedawna mamy gotowe. Trzeba je tylko egzekwować.

A jak się panu podoba idea budowy wzdłuż granicy płotu wkopanego na 40 cm w dół, żeby dziki nie mogły się przekopać? Mogłoby to pomóc czy stalibyśmy się pośmiewiskiem w Europie?

Jakkolwiek jest w Polsce wielu zwolenników takiego rozwiązania, osobiście uważam, że w obecnej sytuacji pomysł jest nie do przyjęcia. Co zrobimy z ogrodzeniem, jak ASF wraz z dzikami lub poprzez ludzi (co bardziej prawdopodobne) przesunie się do Wisły? Poza tym jest jeszcze wiele innych powodów, dla których taka inwestycja nie zostanie podjęta.

Z PROF. DR. HAB. ZYGMUNTEM PEJSAKIEM
 ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KLOCH
 ZDJĘCIA JAKUB OSTAŁOWSKI